ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
»DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Nr 24

Katowice 22 czerwca 1947 - Rok 2

GDYNIA
pierwszy port Bałtyku

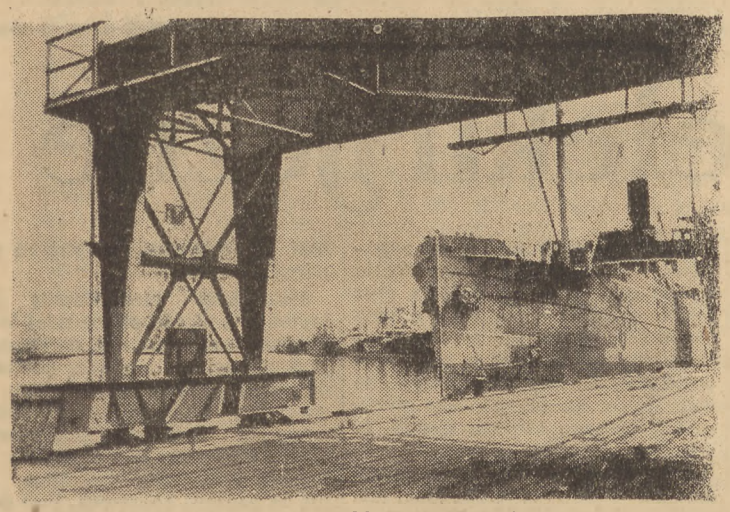

Archiwum Fot. „Dziennika Zachodniego".

Po dwóch latach uciążliwej pracy, port gdyński znów spełnia swoją doniosłą dla życia gospodarczego kraju rolę. Transportowiec szwedzki, który przywiózł potrzebną nam rudę, zabiera polski węgiel.

Najbardziej widomym znakiem realizacji polskiej idei morskiej, okazałym pomnikiem naszego materialnego dorobku nad Bałtykiem i równocześnie symbolem zrozumienia w społeczeństwie spraw ekspansji morskiej — jest Gdynia.

Wyczarowana z piasków nadmorskich w przeciągu niewielu lat, stanowi wspaniały dokument naszej zdolności do wysiłku zbiorowego; jest wykładnikiem tężyzny moralnej społeczeństwa i triumfem pracy polskiego robotnika i inżyniera.

PIERWSZE ŚLADY

Pierwszy ślad istnienia Gdyni pochodzi z roku 1233. Nie była wówczas nawet wioską, lecz małym folwarkiem, stanowiącym własność panów z Rusocina. — **Zwała się wtedy G d i n a.**

Dalsze ślady pochodzą z drugiej połowy wieku czternastego. **Wzmianki o niej znajdujemy w dokumentach O. O. Kartuzów, którzy otrzymali Gdynię aktem darowizny od pana Rusocińskiego.** Ponieważ Kartuzi byli Niemcami, figuruje Gdynia w aktach klasztoru jako G d i n g e n. W roku 1362 „Gdingen" stała się wsią, ustanowioną na prawie niemieckim.

Jak wynika z dokumentów historycznych, pierwszym sołtysem Gdyni był Polak, Matjasz, następnym jego siostrzeniec, Piotr.

W r. 1772 Gdynia liczyła „już" 7 zabudowań gospodarskich oraz karczmę, razem 20 włok. Do wioski należał w owym czasie także przysiółek Grabówka. Właściciele Gdyni, O. O. Kartuzi, posiadali w swym ręku zmonopolizowane prawo połowu, korzystający zaś z niego obowiązani byli płacić klasztorowi $^1/_{10}$ część złowionych ryb.

Po trzecim rozbiorze Polski Gdynia staje się własnością fiskusa pruskiego. Jako wieś królewska obejmuje teraz 21 gospodarstw.

Przysiółek Kamiennej Góry, tak charakterystyczny dla panoramy dzisiejszej Gdyni, powstał w początkach 19 wieku.

W r. 1627 przypada Gdyni zaszczytna rola: W czasie bitwy pod Oliwą (26 listopada tegoż roku) z flotą szwedzką, blokującą port Gdański, Gdynia była częściowo bazą operacyjną floty polskiej, która pod wodzą Arendta Dickmana odniosła wspaniałe zwycięstwo, zatapiając 11 okrętów nieprzyjacielskich.

Kroniki kościoła w Oksywiu, dzielnicy dzisiejszej Gdyni, podają, że przez Gdynię dążyły wojska napoleońskie w swym pochodzie na Moskwę, i po sromotnej klęsce, tędy cofały się ich resztki. Jak mówi legenda, **przez Gdynię miał również przejeżdżać Napoleon** i zatrzymawszy się tam dla odpoczynku, zasiadł pod dębem, który przetrwał do czasów świetności Gdyni i mimo, że znalazł się później po środku jednej z najruchliwszych jezdni, uszanowany został jako zabytek, zwany **„Dębem Napoleona".**

Do czasu agresji hitlerowskiej Gdynia nigdy nie była widownią bitew ani nawet mniejszych zapasów zbrojnych.

OKRES PRZEŁOMOWY

Rok 1920 jest przełomowym w historii Gdyni. Maleńka wioska rybacka zostaje powołana do spełnienia wybitnej roli w dziejach Polski.

Na powstanie Gdyni, największego — i najnowocześniejszego portu nad Bałtykiem, złożyły się zasadniczo dwa czynniki: konfiguracja morskich granic Polski po roku 1918 i zdecydowanie wroga polityka wolnego miasta Gdańska wobec naszych dążeń oparcia gospodarki państwa o morze.

Po pierwszej wojnie światowej 30-milionowa Polska, o obszarze 388 279 km² otrzymała zaledwie 146 km. wybrzeża morskiego (bez Helu — 72 km). Niekorzystność warunków, w jakich wróciliśmy nad Bałtyk, polegała przede wszystkim na okoliczności, **że na obszarze tym nie mieliśmy odpowiedniego portu, nadającego się do międzynarodowej wymiany handlowej.**

Dla tych powodów przyznano nam bardzo szerokie uprawnienia w stosunku do Gdańska, włączając go nawet do obszaru celnego Rzeczypospolitej. Kilka lat naszego „współżycia" gospodarczego z wolnym miastem — wyłoniło jednak konieczność uniezależnienia od nienawistnego nam żywiołu.

Gdańsk, stwarzając Polsce trudności w problemie rozwiązania handlu zamorskiego, przez obranie wobec nas wrogiego kursu, popełnił równocześnie kardynalny błąd, godzący w jego najżywotniejsze interesy.

Postanowiliśmy uniezależnić się przez stworzenie własnej eksposytury nad Bałtykiem, przystosowanej do wielkiej, międzynarodowej wymiany towarowej.

Naturalne ukształtowanie się wybrzeża morskiego, posiadanego przez nas w tym czasie, nastręczał wiele trudności przy wyborze odpowiedniego miejsca pod budowę portu. Ostatecznie zdecydowano się na Gdynię. W przeciągu 12 lat na wydmach piaszczystych Zatoki Gdańskiej powstaje najbardziej nowoczesne miasto-port, liczące przeszło 130 tysięcy mieszkańców!

Tempo rozrostu Gdyni pozostaje bez preccedensu. Było to tempo, wobec którego zbladły europejskie i światowe na tym polu sukcesy!

LATA OKUPACJI

Wypadki w roku 1939 kładą kres rozwoju Gdyni. „Gotenhafen" musi służyć teraz zaborcy w jego pochodzie na podbój świata. W tej szacie, w jakiej Rzesza zagarnęła Gdynię — nie ujrzeliśmy jej po powrocie na Wybrzeże.

Rok 1945 zastał w Gdyni przerażający obraz zdewastowania, pnury bilans dzieła niszczycielskiego cofającego się wroga. Nie starczyło zaborcy czasu, by rozkruszył miasto. Szalał natomiast w porcie.

Z 4.000 m. falochronu najnowocześniejszej konstrukcji żelbetowej — 80 procent znajdowało się w całkowitej ruinie; z 220 tysięcy m. powierzchni magazynów portowych — 170 tysięcy uległo zniszczeniu; z 112 urządzeń przeładunkowych — 40 nadawało się do użytku; dno morskie usiane było, wykluczającymi wszelką żeglugę, wrakami, umyślnie w tym celu zatopionych statków i okrętów...

Rozpoczęła się mozolna praca nad przywróceniem Gdyni dawnej jej świetności.

Po dwóch latach wkładów materialnych i wysiłku mięśni i umysłów — Gdynia spełnia znów rolę, jaką przeznaczył jej naród.

(eb)

Archiwum Fot. „Dziennika Zachodniego".

W dniach Święta Morza, gdy na Bałtyk zwrócona będzie silniej, jak zazwyczaj, uwaga całego społeczeństwa, wspomnieć należy również i o tych, którzy w 1939 r. tego morza przed zaborcą bronili — o bohaterskich obrońcach Westerplatte. Na zdjęciu pomnik ku czci marynarzy, kawalerów Krzyża Virtuti Militari, wystawiony w Gdyni.

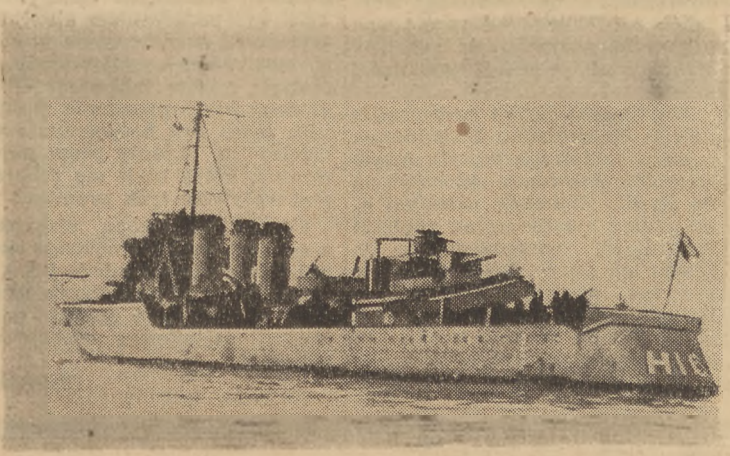

Archiwum Fot. „Dziennika Zachodniego".

Marynarz polski rejs ku Niepodległości odbywał również i na obcych okrętach. Gdy po tragicznych czerwcowych dniach 1940 r. francuski kontrtorpedowiec „Ouragan" pozostał bez załogi, okręt ten objęła Polska Marynarka Wojenna.

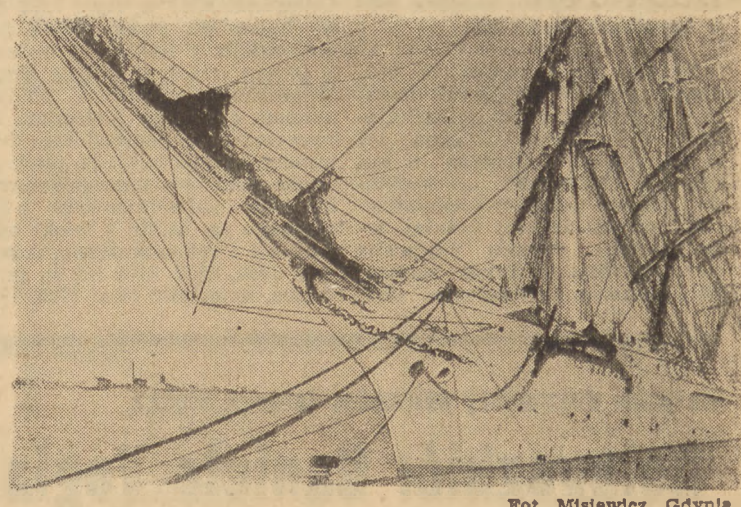

Fot. Misiewicz, Gdynia.

Żaglowiec „Dar Pomorza", szkolny okręt Marynarki Polskiej, na którym ćwiczyły się przed wojną i ćwiczą obecnie zastępy polskich marynarzy.

Archiwum Fot. „Dziennika Zachodniego".

W latach okupacji Polska Marynarka Wojenna na wszystkich wodach świata chlubnie spełniała swą służbę dla Ojczyzny. Na zdjęciu kontrtorpedowiec „Krakowiak", słynny ze swych wyczynów na Morzu Śródziemnym.

Fot. Misiewicz, Gdynia.

Fragment portu rybackiego. Ogołocone przez okupanta ze sprzętu polskie rybactwo nadmorskie szybko wraca do normalnych warunków pracy i rozwoju.

STEFAN BALICKI

Pamiętam Gdańsk...

...Jak mogłem przeszłość dojrzeć nad Gdańskiem?...
Wzrok mi gotykiem kłuły reklamy,
„Sieg Heil" skandował charkot germański
z każdego okna i każdej bramy.
I tak kroczyłem pod prąd nóg butnych,
śpiewów złowrogich i huk muzyki,
a w krąg widziałem symbol okrutny:
w dymach pochodni krwawe swastyki.

Później — pamiętam — knajpa portowa.
Półmrok... Ich wielu. Wypchana sowa
złowróżbnym patrzy w stół „panów" okiem
a z nią drwi srebrny starzec zza okien...
Hardo przynosi tacę dziewczyna.
Nalewam. Myślę nad lampką wina...

Bo wino było gdańskie, mrożone.
Bo wino było jak krew czerwone...

I tamtych karki już są czerwone.
Stół z huku pięści wydudnia rytm
i nagle buchła w sufit chóralnie,
rozkołysując senne latarnie,
pieśń nienawistna: Horst Wessel Lied.

I sini wszyscy patrzą w mą stronę.
A wino moje jak krew czerwone...

Więc piję wino. Oczu wzniesionych
nie poniżyłem do oczu złych.
Wypiłem wino w Gdańsku zmrożone,
jak krew czerwone, gorzkie jak łzy...

...Jak mogłem przeszłość dojrzeć nad Gdańskiem?...
Od wschodu wjechał pociąg historii —
krew morza cegieł w kupieckim państwie
wieściła koniec fantasmagorii.

Znowu kroczyłem! Pod cichym niebem
znalazłem spokój czekany w duszy,
bo pod butami chrzęściły z gniewem
kości pałaców hardych patrycjuszy.

Szukałem w koło życia — nie zgonu.
Coraz wolniejszym niosłem się krokiem.
Wtem z zagubionych wśród śmierci domów
ręce mi drogie wzniosły do okien
i wbiły mocno do murów starych:
potem i łzami nad śnieg zbielone,
krwią bohaterów ludu czerwone,
Ojczyzny mojej sztandary.

Tak z morza ruin pychy germańskiej
Dzień Święta Morza zakwitł nad Gdańskiem.

10 zaginionych dni

Ulubionym sposobem „zabijania" bezczynnych godzin, spędzanych na „bloku XV", obozu oświęcimskiego były tak zwane „intelligence questions" — coś w rodzaju szarad, których rozwiązanie wynikało zazwyczaj samo, z jakiegoś niepozornego szczegółu, ukrytego w tekście. Wystarczało dokładnie wsłuchiwać się w całość opowiadania, aby znaleźć klucz zagadki. Warunkiem gry było jednakże, aby rozwiązanie kwestii nie wymagało specjalnofachowych wiadomości, przekraczających przeciętny poziom wykształcenia. Jako jedna z najlepszych takich kwestii była historia spadkowa.

„W długoletnim sporze spadkowym rodziny Maleottich przeciwko rodzinie Sforzani'ch, rzecznik strony skarżącej był pewien wygranej, kiedy odnalazł i przedłożył sądowi stary dokument zawierający m. in. następujące słowa: „JWXiążę Sforzai nd..., zawezwał nas... notariusza xiążęcego neapolitańskiego dnia 12 października Anno Domini 1582 i postanowił na cztery godziny przed swym zgonem, że nie mając potomstwa męskiego w rodzie Sforzanich, ustanawia dziedziczenie Yego dóbr Xiążęcych po wsze czasy przez rodzinę Yego zmarłej żony Maleottich i ich potomstwo..." Sędzia — natychmiast po przeczytaniu dokumentu — uznał go za sfałszowany i pretensję powództwa odrzucił. Co było powodem takiego wyroku?"

Po różnych protestach słuchaczy, że rozwiązanie wymaga znajomości prawa spadkowego, jeden z obecnych wyjaśnił: „Oczywiście, że dokument był sfałszowany, nie trzeba na to być prawnikiem, **12 października 1582 nie mógł być spisany żaden akt notarialny, gdyż takiego dnia w ogóle nie było".**

Posypały się protesty i pytania: — jakto? niemożliwe! — ale byli i tacy, którzy usiłowali pokryć zaskoczenie przytakiwaniem z miną wtajemniczonych: „no oczywiście, że też od razu na to nie wpadłem".

Komu jednak rzetelna wiedza milsza od udawania, tego zapraszamy na małą przechadzkę w dziedzinę historii dla zbadania, jak to rzeczywiście było z tym 12 października 1352 roku. W nagrodę dowiemy się, **że nie tylko tego dnia, ale nawet całych 10 dni, od 5 do 14, nie znajdzie nikt w kronikach wieku XV.**

Okazuje się, że nawet taki drobiazg, jak nasz codzienny towarzysz i mierniczy dni przemijających — kalendarz — ma też swoją historię. **Obecnie u nas przyjęty kalendarz „gregoriański" nie był znany w średniowieczu. Powstał dopiero później, jako pewnego rodzaju poprawka do poprzednio w całym zachodnim obszarze kulturalnym obowiązującego kalendarza juliańskiego.** A i dziś jeszcze wiemy o tym, że na wschodzie Europy liczy się czas zawsze według „starego stylu".

System juljański opierał się na tzw. periodzie juljańskim, obejmującym 7980 lat, a powstałym jako iloczyn trzech cyklów, tj. okresów powtarzania się dni tygodnia w stosunku do położenia ciał niebieskich: cykl słoneczny o 28 latach, — księżycowy **ciclus lunae** o 19 i **ciclus indictonis** o 15 latach. **Rokiem pierwszym juljańskiego periodu był rok 4713 przed n. Chr., czyli żeby znaleźć rocznik juljańskiego periodu z naszego systemu, należy wszystkie daty przed nr. Chr. odejmować od liczby 4714 a do daty po n. Chr. dodawać liczbę 4713.**

Zwróćmy jeszcze uwagę na następujący szczegół z naszego sposobu liczenia dat: **Narodzenie Chrystusa przyjęte zostało na 25 grudnia roku poprzedzającego nasz rok 1 (po n. Chr.). Rok pierwszy przed nr. Chr. natomiast jest właśnie rokiem, w którym przypada (25 grudnia) Narodzenie Chrystusa. Czyli, że niema roku 0. Po roku pierwszym przed n. Chr. następuje bezpośrednio rok 1 po n. Chr.**

System juljański uznawał — tak samo jak i nasz obecny — różnicę długości roku kalendarzowego, od długości czasu całkowitego obiegu ziemi dokoła słońca. **Ten „rok słoneczny" liczono jako 365¼ dni.** Dla wyrównania różnicy — po każdych 3 latach zwykłych po 365 dni następował jeden rok przestępny o 366 dniach. Ponieważ rok 1 juljańskiego periodu ustalono rokiem przestępnym, wszystkie daty tego periodu, które podzielone przez 4 dają resztę 1 są przestępne. **Licząc według naszych dat, lata przestępne przed nr. Chr. są te, które dzielone przez 4 mają resztą 1, a po n. Chr. które dzielą się przez 4 bez reszty.**

Nie zauważono jednakże, że rok „juljański" o 365¼ dniach nie pokrywa się ściśle z długością roku słonecznego, tylko jest o 11 minut i 12 sekund dłuższy. Skutkiem tego **wiosenne porównanie dnia z nocą, które w czasie pierwszego soboru nicejskiego przypadało dokładnie na 21 marca, „przesunęło się" w kalendarzu juljańskim w okresie do XVI wieku o 10 dni wstecz.**

Ażeby tę nieścisłość usunąć, został wprowadzny przez papieża Grzegorza XIII w roku 1582 nowy kalendarz, zwany odtąd gregorjańskim i będący dotychczas w użyciu w całym świecie chrześcijańskim z wyjątkiem obszaru kościoła greckiego. Kalendarz ten wprowadził do poprzedniego dwie zasadnicze poprawki: Po pierwsze — **dla usunięcia niewspółmierności roku kalendarzowego i słonecznego na każde 4 wieki opuszcza się 1 rok przestępny.** A więc lata: 1600, 2000, 2400 itd. są przestępne, natomiast lata: 1700, 1800, 1900, 2100, 2200, 2300 itd. pomimo, **że są podzielne przez 4 nie będą latami przestępnymi tylko zwykłymi.** (Dla łatwiejszego zapamiętania można w datach tych zakryć dwa końcowe zera i badać pozostałą liczbę na podzielność przez 4).

Po drugie — dla wyrównania zaistniałych przesunięć **postanowiono, że w chwili wprowadzenia nowego kalendarza w roku 1582 po dniu 4 października — który był czwartkiem — następny dzień tj. piątek zostanie oznaczony od razu datą 15 października.** Czyli że całe 10 „dni" zostało wykreślone z kalendarza i dlatego dat tych — od 5 do 14 — w żadnej kronice ówczesnej na obszarze zachodnio-chrześcijańskim się nie znajdzie.

Na zakończenie podajemy sposób, jak można dla każdej daty w przeszłości czy przyszłości **obliczyć przypadający dzień tygodnia.** Do obliczenia służą trzy tabelki współczynników, reprodukowane poniżej. Wybieramy z tabelki 1 liczbę **l** dla odnośnego stulecia, z 2 liczbę **m** dla danego roku i z 3-ciej liczbę **n** dla odnośnego miesiąca sumujemy. **Wynik tj. suma l + m + n wskaże nam datę niedzieli w tymże miesiącu danego roku.** Stąd już — po prostu „na palcach" — doliczamy się do naszej poszukiwanej daty i ustalamy jej dzień w tygodniu. A więc na przykład: ostatnia straszna w skutkach data 1. 9. 1939. Wyszukujemy: dla 1900 — 7, dla 39 — 1 i dla września — 2, razem 7 + 1 + 2 = 10, to znaczy 10 września była niedziela, a więc 3-go także niedziela, a 1-go piątek. (Liczby w nawiasach w kolumnie **n** są dla lat przestępnych, natomiast w kolumnie **l** przy podwójnych liczbach pierwsza jest dla kalendarza juljańskiego, druga dla gregorjańskiego).

Stulecie	l	Stulecie	l
0	3	1100	7
100	4	1200	1
200	5	1300	2
300	6	1400	3
400	7	1500	4—7
500	1	1600	5—1
600	2	1700	6—3
700	3	1800	7—5
800	4	1900	1—7
900	5	2000	2—1
1000	6	2100	3—3

	m									
rok	0	1	2	3	4	5	6	7	8	9
0	0	6	5	4	2	1	0	6	4	3
10	2	1	6	5	4	3	1	0	6	5
20	3	2	1	0	5	4	3	2	0	6
30	5	4	2	1	0	6	4	3	2	1
40	6	5	4	3	1	0	6	5	3	2
50	1	0	5	4	3	2	0	6	5	4
60	2	1	0	6	4	3	2	1	6	5
70	4	3	1	0	6	5	3	2	1	0
80	5	4	3	2	0	6	5	4	2	1
90	0	6	4	3	2	1	6	5	4	3

miesiąc	n
I	0 (1)
II	4 (5)
III	4
IV	1
V	6
VI	3
VII	1
VIII	5
IX	2
X	0
XI	4
XII	2

Oto tabelki tego **„wiecznego kalendarza".** Prosimy sprawdzić datę dzisiejszą, a potem podobliczać dni urodzin wszystkich najdroższych. Kto zaś woli poważniejsze daty, to proszę: Krzysztof Kolumb przybił pierwszy raz do wybrzeży, które miały być Indiami, a okazały się później **Ameryką dnia 12 października 1492.** Konstytucja 3-go **maja była uchwalona w roku 1791,** a **Napoleon zakończył swój bujny żywot w samotności wyspy św. Heleny 5 maja 1821.**

Mikroskopy elektryczne

Aby zaspokoić swe pragnienie wiedzy, człowiek wynalazł najpierw mikroskop, który odkrył mu mikrokosmos. Aparat ten, nazwany mikroskopem optycznym, powiększa przedmiot obserwowany do tysiąca razy i pozwala obserwować drobnoustroje, których wielkość wynosi jedną tysiączną milimetra.

Nie wystarczyło to jednak uczonym, którzy dostrzegłszy mikroby, chcieli dokładnie poznać ich budowę, mikroskop optyczny pozwala bowiem na powiększenie tylko do pewnych granic. Aby ocenić geniusz ludzki, który zbudował z kolei mikroskop elektronowy, pozwalający na znacznie większe powiększenie, należy przede wszystkim zapoznać się z budową zwykłego mikroskopu optycznego.

System optyczny, zwany „kondensatorem", chwyta promienie ze źródła światła, następnie koncentruje je w wiązce, idealnie zmierzającej do jednego punktu, zwanego ogniskiem. Promienie świetlne po przejściu przez ognisko, rozchodzą się w swoich kierunkach pierwotnych i tworzą wiązkę promieni, rozszerzających się coraz bardziej, w miarę oddalania się od ogniska.

Ekran, przejmujący tę wiązkę promieni, pokaże nam ją jako okrągłą plamę świetlną. Jeżeli teraz wprowadzimy w te promienie, bardzo blisko ogniska, przedmiot ciemny, nie przeźroczysty, przedmiot ten przejmie niektóre z promieni i na ekranie ukaże się jako cień na jasnej plamie. Przy tym cień ten zarysuje, oczywiście w dużym powiększeniu, sylwetkę danego przedmiotu.

W rzeczywistości przedmioty obserwowane przez mikroskop są zbyt drobne, aby były ciemne, w większym lub mniejszym stopniu przepuszczają one światło i tworzą obrazy, dużo bardziej interesujące niż czarne kontury. Najczęściej światło przechodzi przez te drobniutkie organizmy i pozwala oglądać nietylko kontury, ale i wewnętrzną budowę mikroorganizmów.

Jeżeli bada się budowę mikroskopu, łatwo można się przekonać, że czym przedmiot położony będzie bliżej ogniska, tym mniejsza część przedmiotu obserwowanego będzie widoczna, ale powiększenie będzie wówczas silniejsze. Jeżeli bada się krople pożywki bakteryjnej — i o ile zostanie ona umieszczona w pewnej odległości od ogniska — to zobaczymy na ekranie mikroskopu pewną ilość bakcyli, mało powiększonych. Jeżeli jednak zbliży się kroplę tej pożywki do ogniska, to zobaczymy jeden bakcyl, zajmujący całe pole widzenia, w bardzo silnym powiększeniu.

Początkowo przypuszczano, że obrazy można powiększać dowolnie. Okazało się to jednak niesłuszne, ponieważ 1000-krotne powiększenie to maksimum, które można osiągnąć.

Jeżeli chcielibyśmy przedmiot badania powiększyć powyżej tysiąca razy, nie otrzymamy czystego obrazu, a jedynie zamazane kontury, które z punktu widzenia nauki nie przedstawiają wartości.

Aby to zrozumieć, należy zapoznać się z budową promienia świetlnego. Promień światła przebiega faliście i posiada pewną szerokość drgania. Jeżeli więc rozmiary przedmiotu są tej samej wielkości, co amplituda promienia świetlnego, na ekranie nie otrzymamy jasnego obrazu. Będzie to zupełnie to samo, co malowanie bardzo małych i delikatnych rysunków — grubem pendzlem. Amplituda drgań elektromagnetycznych, które tworzą promień świetlny, wynosi półtysiączną część milimetra i dlatego też światło nie może dać obrazu przdmiotów mniejszych, niż amplituda promienia.

Geniusz ludzki nie zgodził się jednak na to, aby ciekawość jego i wzrastająca żądza poznania była ograniczona i to czego nie mógł otrzymać od mikroskopu optycznego, zażądał od mikroskopu elektronowego. Należało bowiem promienie świetlne zastąpić innym światłem, o promieniach węższych, a odkrycie elektronu i jego własności, pozwoliło na sztuczne wytworzenie promieni delikatniejszych.

Nowoczesna fizyka rozporządza dowoli elektronami. Najmniejsza z lamp radiowych wysyła ciągle strumień elektronów, które płyną do płytki. Wibracje promieni elektronów zależne są od napięcia dodatniego, zastosowanego do płytki lub anody. Jeżeli do anody użyjemy napięcia 50.000 volt, o ile oczywiście założymy, że rozmiary lampy na to pozwolą, to otrzymamy promienie elektronów o amplitudzie tysiąca razy mniejszej, niż amplituda zwykłych promieni świetlnych.

Mikroskop elektronowy jest czymś w rodzaju olbrzymiej lampy radiowej, z katodą, wytwarzającą elektrony i anodą, poddaną działaniu prądu dodatniego, o wysokim napięciu. Otrzymamy wówczas strumień elektronów, skoncentrowany jest podobnie jak zwykłe promienie świetlne, ale nie za pomocą soczewek, lecz przy użyciu pól magnetycznych, lub pól elektrycznych, które posiadają właściwość odchylania promieni elektronów.

W mikroskopie elektronowym można umieścić obserwowany przedmiot, nadzwyczaj blisko ogniska i w ten sposób otrzymać wyraźny obraz.

Wytworzenie promieniowania elektronowego wymaga zastosowania napięcia 50.000 volt i wyżej, poza tym promieniowanie to jest osiągalne jedynie w próżni idealnej. Mikroskop elektronowy musi być urządzeniem absolutnie szczelnym, zaopatrzonym w pompy, usuwające wszelkie ślady ciał stałych, gazów lub pary. Obraz rzucony przez promienie elektronów może być bezpośrednio widzialny na ekranie przez użycie materii, która staje się świecącą pod wpływem tych promieni.

Użycie mikroskopu elektronowego jest trudne i wymaga obecności zarówno inżyniera jak i fizyka, ale rezultaty, otrzymywane przy użyciu tego aparatu przechodzą najśmielsze oczekiwania uczonych.

(Telepress)

Nieznane dokumenty polskości Dolnego Śląska

Księgozbiór Daniela Vogla

Jednym z zadań nauki polskiej jest wykazanie, na podstawie materiałów źródłowych, zachowanych zabytków kultury polskiej, która, mimo wczesnego odpadnięcia połaci Dolnego Śląska od Polski (XIV w.), trwała żywotnie jeszcze w XVIII i XIX wieku. **Wymownym świadectwem długotrwałego związania się tych ziem z polskim życiem kulturalnym są książki polskie, owe polonika, jakie do dziś przetrwały w śląskich zbiorach bibliotecznych.** O tych polonikach, cennych drukach polskich od XVI—XVIII wieku, jakie znajdowały się przed wojną w Bibliotece Miejskiej we Wrocławiu (obecnie Uniwersyteckiej), zainteresowani naukowo w owym czasie w małym stopniu byli poinformowani i z trudem do nich docierali. **Niemcom nie zależało na ujawnianiu poloników, a nawet wręcz przeciwnie skrzętnie je ukrywali.** Dopiero dziś wydobywamy na światło dzienne nasze skarby kulturalne, widząc w tym pomost między teraźniejszością a przeszłością naszą na tym terenie.

Pomocą źródłową jest tu ciekawy, z roku 1824 pochodzący zabytek rękopiśmienny, a mianowicie nieznany dotychczas inwentarz książek polskich biblioteki prywatnej Daniela Vogla (1742 do 1829), nauczyciela języka polskiego w gimnazjum Marii Magdaleny we Wrocławiu, miłośnika polszczyzny, bibliofila i autora szeregu podręczników polskich. **Rękopis ten, znaleziony w marcu br. w ocalałej części zbiorów rękopiśmiennych dawnej Biblioteki Miejskiej, dziś Uniwersyteckiej, jest właściwie zwykłym rejestrem książek, zestawionym według formatów własnoręcznie przez Daniela Vogla,** z oryginalnym tytułem na zewnętrznej stronie okładki w brzmieniu: Catalogus Bibliothecae Vogelianae (syg. Cat. 359). Zawiera około 300 poloników, druków od XVI do początku XIX wieku. **Materiał to nadzwyczaj wartościowy, źródło do dziejów książki i bibliotek polskich na Dolnym Śląsku.**

O sile elementu polskiego w tym czasie mówi nam pośrednio własnoręczna notatka Daniela Vogla, w języku niemieckim, zamieszczona na karcie wstępnej tego inwentarza (z roku 1824). Oto dosłowne brzmienie tej notatki: „Da die polnische Sprache in Schlesien neben der deutschen die zweite Landessprache ist und sich doch auf der Magdalenischen Kirchbibliothek kaum einige polnische Bücher befinden, so hat mich das bewogen, meine kleine Sammlung von polnischen Büchern der Maria Magdalenischen Kirchbibliothek einzuverleiben und zum Andenken zu schenken. Daniel Vogel, Professor und Rationarius am Mar. Magd. Gymn. Breslau den 1-ten October 1824".

„Fakt, że język polski jest na Śląsku, obok języka niemieckiego drugim językiem miejscowym — a biblioteka przy kościele Marii Magdaleny składa się jedynie z niewielkiej ilości książek — skłonił mnie do ofiarowania mojego skromnego zbioru książek polskich bibliotece przy kościele Marii Magdaleny. Daniel Vogel, profesor i kurator gimnazjum Marii Magdaleny, Wrocław 1. października 1824".

W podkreśleniu utrzymania języka polskiego, obok niemieckiego, jako krajowego, widzimy tylko potwierdzenie, znanej nam z innych źródeł, prawdy o sile i żywotności autochtonicznego elementu polskiego sprzed stu przeszło laty, wiernego mowie praojców. **Bez znajomości języka polskiego, będącego w powszechnym użyciu, trudno było napływowej ludności niemieckiej porozumieć się z autochtonami polskimi.** — Stąd rodziła się u niej konieczność opanowania polszczyzny. Dążeniom tym szli z pomocą nauczyciele języka polskiego w szkołach wrocławskich.

Kolekcja książek polskich, jaką rozporządzał ofiarodawca, przedstawiała się jako poważny zbiór książek polskich, jak na ówczesne stosunki śląskie (około 300 poloników), który chlubnie świadczy o bibliofilskich zabiegach jej właściciela.

Zbiory Biblioteki Marii Magdaleny przeszły z biegiem czasu (w r. 1865) do Biblioteki Miejskiej (Stadtbibliothek) we Wrocławiu, która przetrwała do końca ostatniej wojny. Po odzyskaniu przez nas tych ziem, powstaja na miejscu poprzedniej obecna Biblioteka Uniwersytecka. Dziś my jesteśmy spadkobiercami tego polskiego księgozbioru wraz z zachowanym inwentarzem, tym ważnym dowodem bibliofilskich zabiegów Daniela Vogla.

W bibliotece swej zgromadził Vogel bardzo cenne druki treści tak świeckiej, jak i religijnej, ze stuleci od XVI do początku XIX. Z literatury są reprezentowane m. in.: **Jana Kochanowskiego „Wszystkie pisma na świat wydane" (Kraków 1611, syg. obecna 4 N280);** druk zbadany typograficznie i uwzględniony przez K. Piekarskiego w pracy „Bibliografia dzieł Jana Kochanowskiego". (str. 56—57); **ciekawy zbiór broszur okolicznościowych,** mieszczący się w tak zwanym klocku, odznaczonym sygn. 4 0 908, z którego wymienimy kilka charakterystycznych jak: **Szymona Starowolskiego, „O Stacicy Żołnierz z Theologiem y priwat" (1624); „Dyszkurs jednego Miłośnika Oyczyzny naszey, w którym się Żołnierzom i Kwarcianom polskim zarzuty czynią, iż się nie pięknie z poddanymi osób duchownych obchodzą" (1648); „Rozmowa Polaka z Włochem o Wolnościach i prawach polskich"** itd.

Z druków treści historycznej: **„Rys ogólny historyi powszechnej dla młodzieży przez Jana Jerzego Augusta Galetti ułożony, a teraz na język polski przetłumaczony z obrazkami kolorowymi"** (Wrocław 1816, syg. 8 0 394); **Do Polskiego Narodu względnie Administracji Pruskiej w bywszych południowych i nowowschodnich Prusach, przez W. A. de Klewitz, taynego Radcę Stanu"** (w Berlinie 1810, syg. 8 4 544); **Jerzego Samuela Bandtkiego „Dzieje Królestwa Polskiego"** (Wrocław 1820, syg. 8 0 59) i szereg innych treści jużto geograficznej, przyrodniczej, medycznej, matematycznej itd.

Licznie reprezentowane są druki treści religijnej i moralizatorskiej, żeby wskazać tylko przykładowo kilka charakterystycznych jak: Macieja Gutthätera Dobrackiego, Małopolanina, wybitnego przedstawiciela ruchu wydawniczego protestanckiego na Śląsku Dolnym, **„Spiżarnia duszna, to jest: modlitwy poranne, wieczorne, pokutne, na wszelkie uroczysto święta służące** (Oleśnica 1671, syg. 8 N 828); X. Adama Gdacjusza z Kluczborka, autora kilkunastu dzieł treści teologicznej i religijno - moralnej, **„Dyszkurs o Pańskim i szlacheckim albo rycerskim stanie"** (Brzeg 1679, syg. 4 K 380).

Daniel Vogel urodził się 12. marca 1742 roku w Niborku, w Prusach Wschodnich (Mazury), gdzie odebrał początkowe i średnie wykształcenie. Następnie wyjechał do Królewca i tam przez 6 lat studiował teologię i filozofię. **W roku 1767 został powołany na stanowisko nauczyciela języka polskiego w gimnazjum Marii Magdaleny we Wrocławiu, w którym język ten wprowadzony został do programu szkolnego poprzedniego roku.** Wybór osoby jego na to stanowisko, jak się okazuje z jego owocnej późniejszej działalności pedagogicznej i wydawniczej, był nader trafny. Praktyczne tego dowody dał jako autor szeregu podręczników polskich, wydanych w latach 1768 do 1809. Najobszerniejsza praca jego jest lexykon polsko - niemiecki z r. 1786 (liczący około 700 stron).

Miarą popularności jego podręczników, niech będzie fakt, iż uczył się z nich S. B. Linde, twórca słownika języka polskiego w czasie swych studiów w Lipsku (1789—92), z czego zwierza się w swej autobiografii. Poza tym wiadome nam jest też, że z jego podręczników uczono przez pewien czas w Gimnazjum Akademickim w Gdańsku w latach 1782—1792. Przyczyniały się więc w niemałej mierze do krzewienia mowy polskiej.

Ze sprawozdania gimnazjalnego z 1828 roku dowiadujemy się, iż w tym roku odjęto Voglowi z urzędu lekcje języka polskiego, a zostawiono nauczanie przyrody, prowadzenie w charakterze buchaltera (Rationarius) spraw gospodarczych gimnazjum, dalej opiekę nad biblioteką i zbiorami dzieł sztuki w tejże szkole. Niedługo jednak trwały i te obowiązki, gdyż był już, z powodu podeszłego wieku, u kresu swych sił. Został zwolniony na wiosnę 1829 roku (liczył już 87 lat), a 16. października tegoż roku zmarł.

Postać to nadzwyczaj ciekawa, zasługująca w dalszych badaniach na rozświetlenie i odsłonięcie z pyłu dotychczasowego zapomnienia. Dzięki swej aktywnej, świadomej i niezmordowanej pracy w kierunku popularyzowania znajomości polszczyzny, dalej kolekcjonerstwu polskich książek, zyskał sobie dowodowe tytuły przynależności do kultury polskiej.

Mgr. Mieczysław Walter.

Zew morza

Eugeniusz Bryza

Nowela

Na pokład statku wiodą zazwyczaj trzy drogi: obietnica barwnej przygody, romantyzm i przypadek. Powodem, dla którego wstąpiłem kiedyś na trap „Marty", starego, zbutwiałego szkunera, by wyruszyć przy sztormowej pogodzie na wezwanie kusicielki przygody, był profesor Stanisław Rucki. Inaczej — zaraza morska, bakcyl morza i najpiękniejsza postać człowieka. Następnie zrodziło się „Bractwo Złotej Kotwicy", którego ojcem duchowym był on, Rucki — „Człowiek Morski".

Przyszedł do nas nieoczekiwanie. Był naszym przeznaczeniem. Przewrócił nam we łbach, zaraził nieuleczalnie miłością morza i odszedł, a raczej — myśmy odeszli od niego.

W szóstej gimnazjalnej dostaliśmy go jako „beltra" geografii. Zaraz z miejsca przypuścił na nas atak, sondując wiadomości klasy z zakresu polskiej ekspansji morskiej. Lekcja udała się. Promieniał. Potem dobył notes i zapisał w nim nazwiska członków gimnazjalnego koła Ligi Morskiej. Na tym skończyła się pierwsza godzina.

Czas upływał. Niespostrzeżenie, zwolna, rzucał na nas Rucki czar morza, zarażał jego urokiem, budził tęsknotę za wędrówką po świecie. Jego entuzjazm udzielał się wszystkim, emanował zdradliwie; kradł młode serca dla wielkiej idei, której Rucki poświęcił swoje życie: morza, polskiego morza.

Mało nam już teraz było lekcji geografii i koła Ligi Morskiej. Pięciu z nas, u których „Człowiek Morski" najmocniej rozbudził zew morza, postanowiło po maturze pójść na naukę do Szkoły Morskiej w Gdyni. Zanim to miało nastąpić, zaczęliśmy dokształcać się na własną rękę. W tym celu zawiązaliśmy stowarzyszenie, dając mu nazwę, która napawała nas radością i dumą: „Bractwo Złotej Kotwicy".

— — — — — — — — —

Podczas wakacji letnich, po ukończeniu siódmej klasy, „Człowiek Morski" pojechał z nami do Gdyni. Po raz pierwszy zobaczyliśmy wówczas morze. Jak się okazało, nie przybyliśmy na Wybrzeże w charakterze turystów, ani letników.

— Wyruszycie w świat — oznajmił, zacierając z radości ręce. — Tu, patrzcie! Mam zgodę waszych rodziców. Było trochę trudności.

Nic więcej nie chciał na razie mówić. Można sobie wyobrazić, jak przyjęliśmy zapowiedź żeglugi!

Pamiętnego dnia przyszliśmy do portu bardzo w czas rano. „Człowiek Morski" rozpoczął — jak zwykle — od przeglądu statków, które wpłynęły w międzyczasie do przystani. — Nagle wskazał ręką w kierunku mola i zawołał: — „Jest"!!

Przy nabrzeżu stał stary, o odrapanych burtach szkuner, z którego luków wyładowywano za pomocą dźwigów olbrzymie bele towaru.

Podeszliśmy bliżej. Wówczas to „Człowiek Morski" zawołał do kogoś na pokładzie:

— Halo! Dawid!!

Osobnik, do którego słowa te były skierowane, wychylił się przez poręcz pomostu nawigacyjnego, przyjrzał uważnie naszej gromadce, po czym uczynił flegmatycznie powitalny znak ręką.

Weszliśmy na pokład barki. Grubas zeszedł w międzyczasie z pomostu. „Człowiek Morski" przywitał się z nim niezmiernie serdecznie. Przez długą chwilę potrząsali sobie dłonie, klepiąc się poufale po plecach.

Mówili po angielsku, ale dość często padały słowa francuskie. Tematem byliśmy my.

— Jutro rano wyruszycie w pierwszy rejs — przemówił wreszcie do nas „Człowiek Morza". — Z tą chwilą należycie do członków załogi „Marty", a to wasz przełożony. Nie miejcie tylko żadnych złudzeń: czeka was praca, bardzo ciężka praca. Może się zdarzy, że poznacie przygodę, ale przede wszystkim poznacie robotę i obowiązki żeglarza. Dwa miesiące, spędzone na tym pokładzie, zorientują was, czy nadajecie się na synów morza. „Captain" jest szyprem starej daty. Pierwsze wasze przykazanie: bezwzględny posłuch i dokładność w wykonywaniu rozkazów. Pod powłoką sadła ma jednak złote serce. Kupicie je sobie szybko, jeżeli zastosujecie się do moich wskazań. Po południu dostarczę wam bagaż.

Potem wziął grubasa pod ramię, jak starego dobrego przyjaciela, i poszedł z nim na pomost, zostawiając nas na śródokręciu... nieco rozczarowanych.

Czekała nas jeszcze niejedna niespodzianka.

Podeszła ku nam dziewczyna o rozwianej płowej czuprynie, w męskich drelichowych portkach, ze sztyletem zatkniętym z marynarska za paskiem, i z najpoważniejszą miną postawiła trzy wiadra i tyleż ryżowych szczotek na krótkich kijach. W jednym z wiader zobaczyliśmy coś w rodzaju żółtej mazi, o nieprzyjemnej śledziowej woni. Było to szare mydło.

W bardzo obrazowy sposób wytłumaczyła nam, na co ma służyć dostarczony przez nią sprzęt: ujęła szczotkę i wykonała kilka wdzięcznych ruchów, przypominających szorowanie pokładu... Widocznie była do tego upoważniona, aby nam rozkazywać — pomyśleliśmy. Bez szemrania zabraliśmy się do roboty. Trzech z nas darło zapamiętale deski starego korabia, dwóch czerpało zza burty wiadrami na linkach wodę i zlewało spieniony brud.

Dziewczyna w portkach — jak się okazało córka „captaina", która żeglowała z nim po morzach — stała opodal, i patrząc na szczurów lądowych, uśmiechała się szeregiem drobnych, bielutkich zębów. — Nigdy nie dowiedziałem się, czyj był ten pomysł, aby dać nam tę szkołę zaraz na wstępie: szypra, czy jego córki; skłonny jestem przypuszczać że chciała zabawić się naszym kosztem. Drogo jednak zapłaciła za chęć dokuczenia nam.

Ładniutka córa Północy zakochała się po prostu w jednym ze swoich „niewolników", i wcale nie śmiała się, gdy po dwóch miesiącach żeglugi na frachtowcu opuszczaliśmy jego pokład.

Nazajutrz w czas rano, przy mocno wzburzonym Bałtyku, wyszliśmy w morze, z przeznaczeniem do jednego z portów skandynawskich.

Upływały dni wypełnione robotą. Używano nas do najgorszych posług. Zacięliśmy się w sobie i znosili trudy bez szemrania. „Elita" statku, szyper, jego oficerowie i panna w spodniach marynarskich, traktowali nas nawet gorzej, niż innych członków załogi. Na małym, pływającym światku byliśmy pariasami.

„Captain" na pokładzie pokazywał się rzadko; za to jego córki było wszędzie pełno. Z biegiem czasu zaprzyjaźniła się z nami tak dalece, że posiłki spożywaliśmy w jej towarzystwie. W zaufaniu zdradziła nam, że ojciec jest z nas zadowolony, i żałuje, że straci nas niedługo, jako chętnych i inteligentnych członków załogi; wróży nam, że będziemy kiedyś dobrymi oficerami. — Jej „pap" i ona bardzo lubią Polaków i posiadają wśród nich wielu przyjaciół...

— — — — — — — — —

Przez dwa miesiące tłukliśmy się po Bałtyku między Gdynią a Skandynawią.

Najczęściej cumowaliśmy w Sztokholmie. Zapowiadany rejs „Marty" do Dakaru nie doszedł jakoś do skutku.

Wakacje kończyły się.

Pożegnanie ze statkiem nie obfitowało we wznioślejsze momenty. Po prostu uścisnęliśmy twarde dłonie naszych towarzyszy — Szwedów, i obładowani bagażem zeszliśmy po trapie szkunera na molo. Jedyną osobą, która chwilę rozstania przeżyła boleśnie, była córka szypra. Najlepszy mój przyjaciel, Stefan, oprócz swego prywatnego mienia, unosił z pokładu statku młode dziewczęce serce.

Korespondowali później ze sobą. Ponieważ „Marta" pływała przez długie miesiące do Afryki, Stefan otrzymywał listy z egzotycznych portów. Przysłała mu także swoją dużą fotografię z wzruszającą dedykacją... po polsku! Zapewniała chłopca o dozgonnej miłości i o tym, że kocha bardzo ojczyznę Stefana. Uczyła się języka polskiego z samouczka. Nie kłamała. Zdania francuskie były odtąd przeplatane zdaniami polskimi, — nieudolnymi, lecz jakże serdecznymi!

Jak się okazało, pozostała Stefanowi wierną — na zawsze. W roku 1939, kiedy Stefan znalazł się poza granicami kraju, dotarł do Szwecji i zamieszkał z rodziną „captaina". Dogadali się z córką szypra ostatecznie. Dziś już pani Stefanowa mówi po polsku bezbłędnie.

Kanał Panamski zestarzał się

Ameryka Środkowa znalazła się znów w kręgu zainteresowań gospodarczych Stanów Zjednoczonych. Odżył bowiem projekt budowy potężnego kanału w Nicaragui. Prasa amerykańska z ożywieniem komentuje tę wiadomość. Kanał Panamski coraz mniej odpowiada potrzebom komunikacji światowej. Tego rodzaju kolosy, jak „Queen Mary" już przepłynąć przez kanał nie mogą. Poza tym częste w okolicach Culebra-Cut trzęsienia ziemi i związane z tym obsunięcie się wielkich mas, stwarza niebezpieczeństwo nagłego zahamowania wszelkiej komunikacji.

Historia budowy kanału w Ameryce Środkowej sięga aż po rok 1535. Francisco Pizarro, po rozbiciu państwa Inków w r. 1533, snuł już plany przecięcia przesmyku panamskiego o szerokości 80 km. Plany te rozbiły się o sprzeciw ówczesnego króla hiszpańskiego Filipa II, który uznał je za wykroczenie przeciw Bogu. Podejmuje je znów Alexander von Humboldt. Widzi on w skróceniu drogi morskiej możliwości ogromnego ożywienia stosunków gospodarczych Hiszpanii z jej koloniami. To samo skłania parlament hiszpański w roku 1814 do wysunięcia żądań budowy kanału. Projekty te upadły wraz z oderwaniem się kolonii hiszpańskich od macierzy. Odżyły znów, gdy olbrzymi potok ludzki ruszył ku wybrzeżom Kalifornii, na poszukiwanie złota. Przecięcie przesmyku środkowo amerykańskiego skróciłoby drogę ze wschodniego wybrzeża Ameryki do zachodniego o 60—70%.

Wypłynęły wówczas 3 projekty: przekopania kanału przez Tehuantepec, przez Nicaraguę i przez Panamę. Projekt kanału przez Tehuantepec odpadł natychmiast, gdyż Meksyk nie chciał oddać prawa budowy kanału przez swoje terytorium obcemu państwu.

Kanał przez Nicaraguę miał mieć długość 300 km, z czego 250 wypadało na jezioro Nicajagna i bieg Rio San Juan. 50 kilometrowy pas lądu w najwyższym punkcie sięgał 46 mtr. Ówczesne amerykańskie koła finansowe, zajęte budową potężnej linii kolejowej, łączącej zachód i wschód Ameryki, nie chciały słyszeć o budowie kanału.

Projekt panamski przewidywał początkowo kanał bez śluz o długości 80 do 85 km. Wysokość działu wodnego, przez który kanał należało przekopać, wynosiła 80 m.

Zakończenie w r. 1869 kanału Sueskiego i zrozumienie jego znaczenia gospodarczego, obudziło znów w Ameryce dążność do budowy kanału, łączącego oba morza. Nie zdołano jednak doprowadzić tego do skutku. Wykorzystała to Francja, zachęcona przez genialnego twórcę kanału Sueskiego, Ferdynanda de Lesseps. Powstały w tym celu w Paryżu komitet wybrał projekt panamski. Budowa rozpoczęła się w r. 1881. W ciągu 8 lat trwała gorączkowa praca, zakończona krachem. Projekt kanału bez śluz okazał się nierealny. Prace podejmowały jeszcze inne towarzystwa ale bez skutku. Wreszcie w 1903 r. budowę przejęły Stany Zjednoczone i w r. 1914 doprowadziły dzieło do końca.

Przez kanał Panamski ruszyły pierwsze okręty. Szły one od zatoki Colon, przez kanał, do śluz pod Gatun. Stąd przez jezioro Gatuńskie, o powierzchni 425 km kwadratowych, dochodziły do przekopu Culebra. Dzięki śluzom w Mifarlores i Don Miguel opadał tu kanał do poziomu Oceanu Spokojnego. Śluza w Gatun dała możność przepuszczania w ciągu 24 godzin do 45 okrętów, a w ciągu roku do 16.000. W latach 1914/15 przepłynęło przez kanał 1.075 okrętów o łącznej wyporności 3 milionów ton, a w roku 1929/30 cyfra wzrosła do 6.185, z wyporności 30 milionów ton.

Mimo że cyfra ta może być jeszcze podwójna, należy oczekiwać momentu, kiedy kanał Panamski nie będzie już zaspokajał potrzeb komunikacji światowej. Wzrost amerykańskich zainteresowań na Oceanie Spokojnym i Dalekim Wschodzie przepowiada znaczne ożywienie komunikacji w tym kierunku. Plan kanału nicaraguańskiego nie jest więc kwestią dalekiej przyszłości.

Świat się śmieje...

PROFESOR SPEŁNIA OBOWIĄZKI RODZICIELSKIE

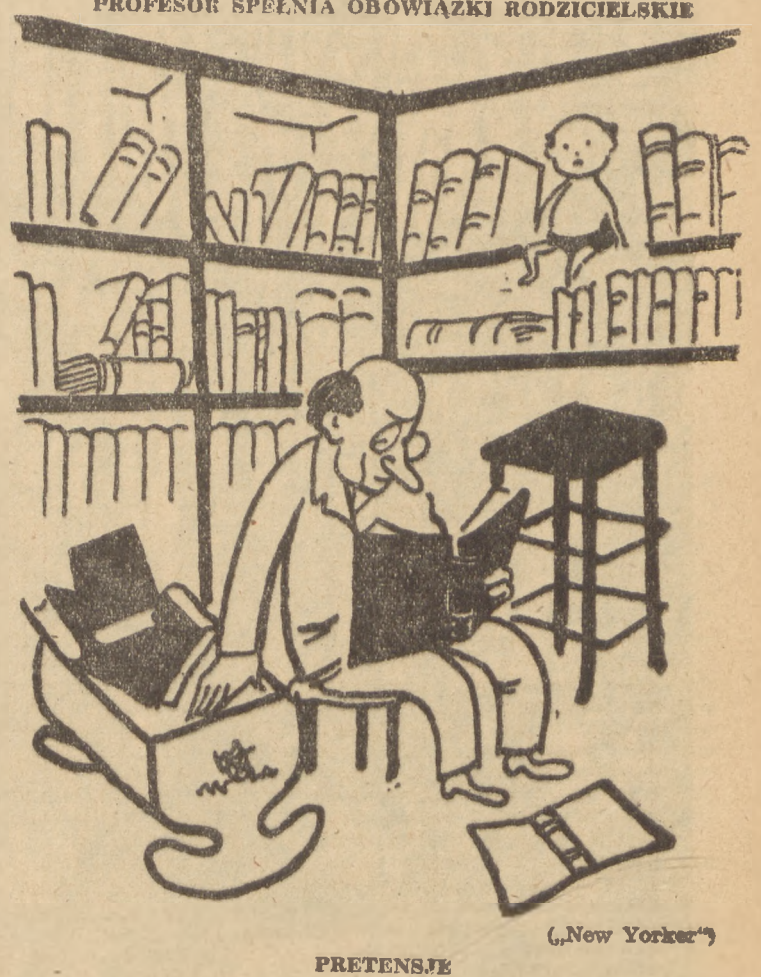

(„New Yorker")

PRETENSJE

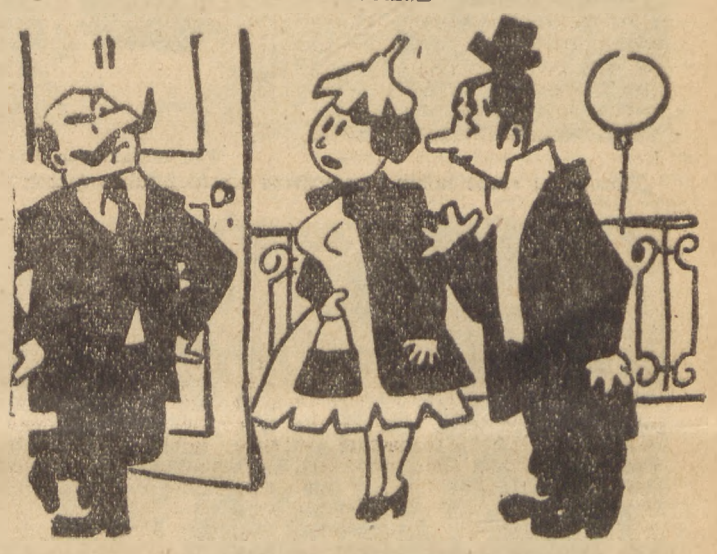

— Jak pan sobie to wyobraża, młody człowieku, aby moją córkę przyprowadzać do domu o szóstej rano?
— Kiedy ja o siódmej muszę już być w biurze...

49 Konkurs Rozrywkowy.

W 49 konkursie rozrywkowym ukaże się 20 zadań, umieszczanych w miarę rozporządzalnego miejsca. Nagrodzeni będą Czytelnicy, którzy rozwiążą wszystkie zadania oraz posiadający największą ilość zdobytych punktów.

1. REBUS KOŁOWY — 5 pkt.

(ul. Teka)

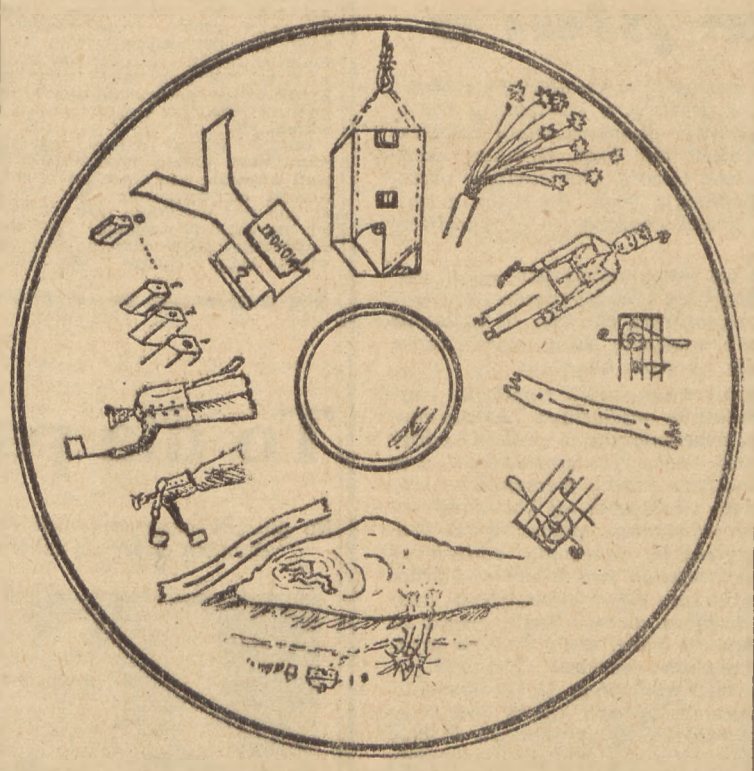

2. NIECO GMATWANINY — 8 pkt.

(ul. E. Matwiejczuk)

Pięciu panów o nazwiskach: Tomaszewski, Janicki, Pawłowicz, Bogusławski, Adamski są posiadaczami imion: Tomasz, Bogusław, Paweł, Adam, Jan oraz szczęśliwymi ojcami pięciu synów o tychże samych imionach, mianowicie:

Imie każdego syna różni się od imienia ojca oraz nie ma żadnych cech podobieństwa z danym nazwiskiem, zarówno jak nie jest podobne do danego nazwiska imię każdego ojca. W ten sposób każdy z synów posiada imię jednego z ojców, które jednak różni się od imienia ojca danego syna i niczym nie upodabnia się do swego nazwiska.

Zawody tych panów są: kupiec, krzypek, malarz, lekarz, adwokat, inżynier, profesor, ksiądz, buchalter i fryzjer. Oznaczyć drogą logicznego wnioskowania imiona, nazwiska, zawody oraz stopnie pokrewieństwa wyżej wymienionych panów, jeżeli:

1. Fryzjer ma imię księdza (wyzn. rzymsko-kat.).
2. Lekarz ma imię Bogusław, nazwisko zaś pochodne od imienia ojca adwokata i syna inżyniera.
3. Inżynier jest starszy od profesora o 14 lat.
4. Tomaszewski jest nazwiskiem fryzjera.
5. Imię malarza jest równobrzmiące z imieniem inżyniera, nazwisko zaś pochodzi od union adwokata i buchaltera.
6. Pawłowicz jest nazwiskiem buchaltera.
7. Nazwisko profesora jest pochodne od imienia inżyniera, imię zaś jest o trzy litery krótsze od ilości liter zawartych w nazwisku lekarza.
8. Najstarszym wiekiem jest lekarz.
9. Malarz zawarł związek małżeński z siostrą kupca 21-go grudnia — w dniu imienin swego teścia.
10. Profesora nie łączą żadne więzy pokrewieństwa z fryzjerem i buchalterem.

Termin nadsyłania rozwiązań powyższych zadań upływa o godz. 12-ej dnia 4 lipca br.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 20 48 KONKURSU ROZRYWKOW.

6. KRZYŻÓWKA SZKIELETOWA

Pionowo: 1. arka, 2. haft, 3. yak, 4. ale, 5. nisza, 6. ubogi, 7. rab, 8. DKW, 9. arak, 10. amor, 15. car, 17. akr, 19. cytat, 22. uncja, 23. USA, 24. nie, 26. nit, 27. III, 31. rak, 32. sport, 33. anons, 34. oko, 35. Ebro, 36. akta, 38. meta, 39. tara, 41 Aar, 42. ago, 44 bos, 45. lek. **Poziomo:** 2. tytan, 6. uroda, 11. rafa, 12. limba, 13. kram, 14. akces, 16. obawa, 18. ach, 20. gaz, 21. kur, 23. urna, 25 INRI, 28. stos, 29. loch, 30. Ares, 33 atol, 35 eta, 37 Pan, 38 mat, 40 kakao, 43. obole, 46. rata, 47. grono, 48. eter, 49. argot, 50. salka.

7. CO SIÓDMY WYCHODZI

Czterdziesty ósmy wielki konkurs i turniej rozrywkowy „Dziennika Zachodniego".

8. REBUS

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi.

9. ZADANIE MATEMATYCZNE

Zakładając, że obserwator znajduje się na początku peronu, to pociąg przejeżdża długość stacji w przeciągu 33 — 8 = 25 sek. Wobec tego prędkość wynosi 400 : 25 = 16 m/s. Ponieważ obserwator widzi pociąg przez 8 sek., więc długość jego wynosi 16×8=128 m.

10. SZARADA.

Dzień Matki.

Czytaj Sport i Wczasy

DEMENOWSKIE GROTY

Fot. Slovakotour, Bratislava

„Kamienna studzienka" przypomina również fantastyczną bajkę.

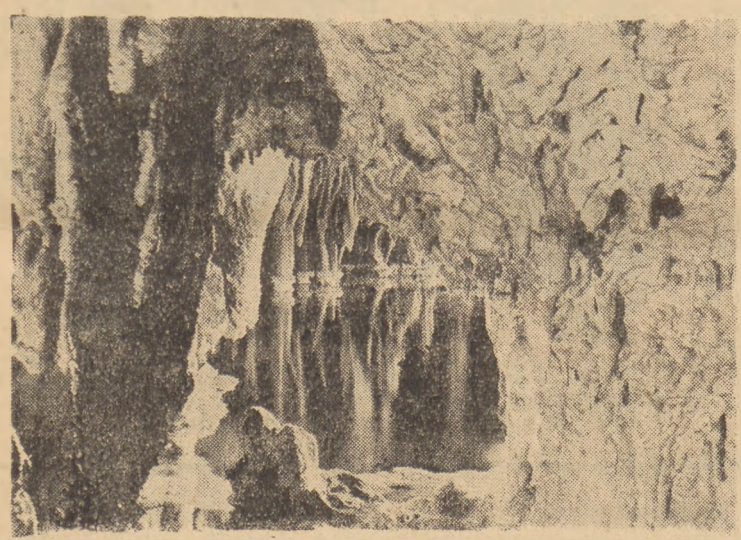

Fot. Slovakotour, Bratislava.

„Modre jeziorko" w Demenowskich Grotach.

Na południowej stronie Tatr, na Słowaczyźnie, w regionie liptowskim, w pięknej Dolinie Demenowskiej, która leży tuż pod północnym stopniem najwyższego szczytu Niżnych Tatr, Dziumbiru (2.045 mtr), górski potok wytworzył w wapieniu górskim rozległy, a niezwykle wspaniały labirynt jaskiń. Długie wieki jaskinie te ukryte były przed okiem ludzkim. Dopiero w roku 1923 nauczyciel ludowy, Alojzy Kral, dostał się po raz pierwszy w fantastyczne podziemia korytem rzeki. Odkryte jaskinie nazwał „Świątynią Wolności" (Chram Svobody). Jaskinie te należą do najpiękniejszych w Europie kompleksów barwnych jaskiń naciekowych. Dziś już Jaskinie Demenowskie zostały wyposażone w odpowiednie chodniki, przejścia i korytarze, otrzymały efektowne oświetlenia i cieszą się sławą światową.

Do Jaskiń Demenowskich dostać się można przez miasteczko słowackie, liptowski święty Mikułasz, które leży przy stacji kolejowej na linii Koszyce — Bogumin, w szerokiej dolinie Wagu. Stara ta mieścina znana jest m. in. z tego, że w roku 1713 odbywał się tu sąd nad słynnym zbójnikiem tatrzańskim, Janosikiem. Do dziś dnia, po zachodniej stronie miejscowego rynku stoi dom, oznaczony numerem osiemnastym, w którym skazano zbójnika na karę śmierci. Według podania, po ogłoszeniu wyroku, powieszono Janosika nad brzegiem Wagu, przed paluczańskim mostem. Mikułasz znany jest jeszcze z tego, że na miejscowym cmentarzu spoczywają zwłoki słowackich bojowników o wolność, Michała Hodży i biskupa Jura Junoszka, oraz słowackiego budziciela narodowego, poety Rehora Urama Podtratańskiego. Od Mikułasza do Jaskiń Demenowskich jest 12 kilometrów piękną asfaltową szosą, specjalnie w tym celu wybudowaną.

Przy wstępie do jaskiń owiewa wchodzącego przyjemny chłód (oczywiście w lecie). Temperatura utrzymuje się tu przez cały rok na poziomie 7 stopni Celsjusza. Początkowe korytarze są dosyć skromnie przyozdobione naciekami. W pierwszej, t. z. „Głębokiej Sali", zwraca uwagę zamarły w bezruchu wodospad, o wysokości mniej więcej 30 metrów. Z kolei następują trzy nieciekawe wielkie sale, pokryte żwirem i gruzem. Następne natomiast komory wprowadzają zwiedzającego po prostu w krainę czarów. „Czerwono-biała" sala pełna jest tarasów z przepięknymi, barwnymi naciekami stalaktytowymi. Z boku sali leży „Modre Jeziorko", a za nim — „Białe Wodospady". Cudowna barwa ich kolorów kontrastuje żywo z połyskującymi kolumnami leżącej obok „Kapliczki".

Po przejściu korytarzami, pełnymi ozdób stalaktytowych, dochodzi się do podziemnej rzeki, płynącej wartkim nurtem, której plusk i szum słychać już z daleka. Z kolei zwiedzający zachwyca się piękną grupą tworów wapiennych, zwaną „Drzewem Żywota".

Trudno w krótkim artykule opisać wszystkie cuda, wszystkie korytarze, komory i sale, ozdobione wspaniałymi naciekami, tworzącymi się od wieków. Jest tu m. in. i „Sala Polska", jest „Galeria Prezydenta Oswobodziciela Masaryka", wspaniała „Przepaść Gen. R. Stefanika", największego bohatera narodowego Słowaków, który po pierwszej wojnie zginął w katastrofie lotniczej. Jest wiele innych, wspaniałych miejsc w Demenowskich Grotach, które niesposób opisać, które ocenić można tylko wtedy, gdy się je ujrzy własnymi oczyma.

Groty Demenowskie ciągną się do 10 kilometrów. Mają kilka pięter. W tej chwili uprzystępnione jest zwiedzanie około 5 kilometrów jaskiń. Niewątpliwie nie wszystkie groty są już odkryte. Wiele jest jeszcze nietkniętych ludzką stopą.

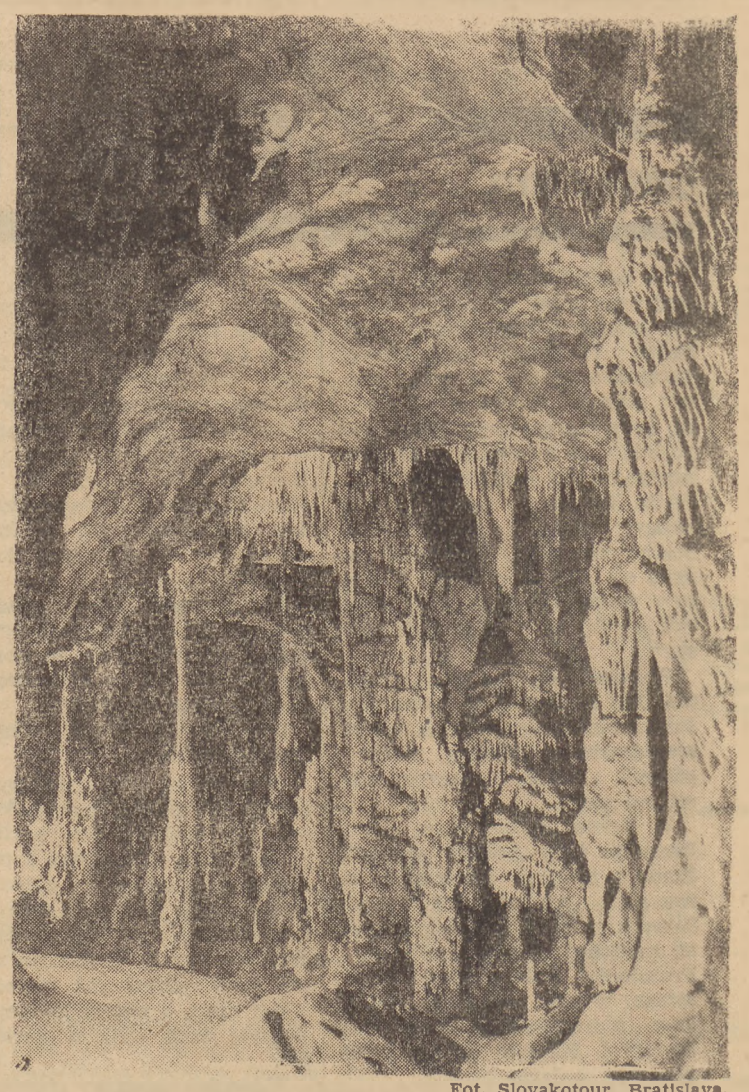

Fot. Slovakotour, Bratislava.

Przepiękne, barwne nacieki stalaktytowe tworzą fantastyczne groty.

Kosm tyka na codzień

Pielęgnacja włosów

Marzeniem każdej kobiety są bujne, puszyste włosy, o pięknym połysku. Aby to osiągnąć trzeba włosy bardzo starannie i systematycznie pielęgnować. Pielęgnacja ta powinna polegać na zachowaniu przede wszystkim maksimum czystości. Ponieważ jednak włosy nie lubią zbyt częstego mycia wodą i mydłem, trzeba je przynajmniej raz dziennie wyszczotkować przez kilka minut w różnych kierunkach. W ten sposób zbiera się z nich kurz, osiadający wraz z tłuszczem, wydzielanym przez skórę, a także wzmacnia się włosy i pobudza ich porost.

Szczotkę należy codziennie oczyścić z kurzu i włosów, a przynajmniej raz na tydzień umyć w ciepłej wodzie z mydłem, po opłukaniu zaś zdezynfekować wodę z domieszką amoniaku.

Częstość mycia włosów jest zależna od ich gatunku. Włosy tłuste trzeba myć częściej niż suche.

Najpierw zwilżamy włosy przegotowaną, miękką wodą (najlepiej ze świeżej deszczówki), polewamy płynnym mydłem i palcami, nie drapiąc, masujemy skórę we wszystkich kierunkach. Po dwukrotnym umyciu płuczemy głowę wodą bieżącą, a więc pod prysznicem, który można sobie w braku łazienki urządzić z czajnika lub polewaczki ogrodowej. Kiedy włosy są zupełnie czyste, spłukujemy je po raz ostatni wodą z odwarem ziół.

Suszyć włosy należy ogrzanym ręcznikiem, często przeczesując, dopóki zupełnie nie wyschną. Suszenie włosów elektrycznością lub żelazkami nie jest wskazane, nie trzeba też ich na mokro zaplatać czy wiązać chusteczką, gdyż suszone bez przewiewu będą zlepione i matowe. Jeżeli chodzi nam o ułożenie fal, to po zapięciu spinaczkami można co najwyżej przewiązać włosy siatką.

Nadmierna suchość włosów powoduje, że są one bardzo sypkie, trudne do ułożenia, łatwo się kruszą, a na skórze głowy, tworzy się czasem drobniutki, suchy łupież. Włosy takie można myć nie wcześniej niż raz na 20—30 dni, a przed myciem na kilka godzin natłuścić skórę głowy, a nawet i całe włosy ciepłą oliwą sojową. Dla włosów suchych najodpowiedniejsze będzie mydło marsylskie zielone, oliwne, przy łupieżu — mydło pokrzywowe. Istnieją też specjalne mydła płynne: rozmarynowe, rumiankowe itp. Włosy suche — sztywne można myć żółtkiem jajka, które trzeba dokładnie oddzielić od białka i rozbić na spodeczku, postępując dalej jak z mydłem.

Do natłuszczania skóry i włosów przed myciem można również użyć oleju rycynowego.

Jako płukankę do włosów suchych używamy odwaru z rumianku listków brzozowych lub chmielu przy włosach ciemnych.

Nadmiernej tłustości skóry owarzyszy zwykle gruby, żółtawy łupież, włosy są polepione i świecące, jakby były wysmarowane tłuszczem Takie włosy trzeba myć co dwa tygodnie lub 10 dni, ale nie częściej, gdyż częste mycie pobudza gruczoły łojowe do tym wydatniejszej pracy. Do płukania włosów tłustych po myciu używamy przede wszystkim skrzypu, który wybitnie osusza, nie wpływając na kolor włosów. Można go łączyć z rumiankiem przy włosach jasnych; natomiast do włosów ciemnych używamy odwaru z kory dębowej, chmiel z korzeniem tataraku i mocną esencję herbacianą. Neutralny dla barwy włosów a osuszający jest jeszcze odwar z łopianu.

Skórę nadmiernie tłustą trzeba dla dezynfekcji dwa, trzy razy w tygodniu przecierać płynami zawierającymi alkohol, a więc wódką czosnkową, cebulową, skrzypową, czy rozmarynową, które nie działają na kolor, pokrzywową, (leczy łupież) lub jałowcową, (przyciemnia włosy). Wódką taką naciera się tylko skórę, rozgarniając włosy palcami.

W wypadkach, gdy włosy są słabe i wypadają, trzeba je wzmacniać przez użycie na dobę przed myciem maści o zawartości 5 do 10% siarki na maśle kakaowym lub goldkremie.

Rozjaśnianie włosów wodą utlenioną jest zawsze szkodliwe, istnieją natomiast środki powolne wprawdzie, ale zupełnie nieszkodliwe. Do nich należy wcieranie wódki z arniki: 50 gramów czystego spirytusu, 10 gramów nalewki arnikowej i 50 gramów wody zmieszać razem, po 24 godzinach przecedzić i lekko zaperfumować lawendą. Po umyciu zwilżyć tym płynem włosy i pozostawić do wyschnięcia.

Podobnie działa esencja rumiankowa: 50 gr. rumianku rzymskiego zalać 125 gr. spirytusu, dodać 125 gr. wody destylowanej i postawić na 8 dni w dobrze ciepłym miejscu, po przecedzeniu dodać 5 kropli gliceryny. Postępuje się tak samo jak z poprzednim płynem, ale dla lekkiego rozjaśnienia włosów trzeba je zwilżać kilka dni z rzędu.

Włosy jasne, z natury sztywne, czy wysuszone przez tlenienie dobrze jest płukać w ciepłym jasnym piwie czystym lub zmieszanym z wodą, w stosunku najwyżej pół na pół.

Żelazne płuca

Nic wspólnego nie ma ten aparat, noszący niezwykłą nazwę „żelaznych płuc" z leczeniem gruźlicy, a każdemu z nas ta myśl w pierwszej chwili nasuwa. Skonstruowany został w Stanach Zjednoczonych. Projekt dał prof. Drinker, skonstruował aparat Warren Collins. Uczony i konstruktor postawili przed sobą zadanie stworzenia broni do walki z najbardziej niebezpieczną dla dzieci chorobą — z paraliżem dziecięcym.

Paraliż dziecięcy od wielu lat jest przedmiotem badań medyków Europy i Ameryki. Zajął się tym zagadnieniem swego czasu prezydent Roosevelt, na którym choroba ta zostawiła głębokie ślady. Dzięki jego inicjatywie Stany Zjednoczone wysunęły się w tej dziedzinie na czoło badaczy.

Aparat oddechowy Drinkera ma umożliwić regularne i rytmiczne wdychanie i wydychanie w najcięższym okresie choroby, gdy muskuły pacjenta, uczestniczące w procesie oddychania, przestają funkcjonować. Praca tych muskułów — a są nimi przepona i muskuły unoszące klatkę piersiową — wywołują kolejno rozszerzenie się i zwężenie tej klatki. W następstwie choroby, w pewnym jej stadium, przestają one pracować. Klatka piersiowa sztywnieje, przewody oddechowe stopniowo zamierają. I tu rozpoczynają swą zbawienną pracę „żelazne płuca". Pacjenta umieszcza się w zamkniętym aparacie, na zewnątrz pozostaje tylko głowa. Szyję otacza ze wszystkich stron płaszcz gumowy, który uniemożliwia przedostawanie się powietrza z zewnątrz aparatu. Ciśnienie powietrza w aparacie poddaje się rytmicznym, dokładnie obliczonym wahaniom. Gdy ciśnienie opada, klatka piersiowa rozszerza się i przez przewody oddechowe przepływa do płuc powietrze atmosferyczne; gdy ciśnienie wzrasta, następuje proces odwrotny: klatka piersiowa opada i powoduje wydech. Wzrost i opadanie ciśnienia w aparacie odbywa się automatycznie. Pacjent pozostaje tak długo w aparacie, dopóki jego naturalny aparat oddechowy nie rozpoczyna normalnie funkcjonować. Ten proces leczenia może potrwać kilka lat, dla wielu zaś pacjentów „żelazne płuca" oznaczają jedyną możliwość życia.

„Żelazne płuca" nie są i nie mogą być czymś w rodzaju środka zastępczego dla ludzkiego systemu oddechowego. Nie zmniejsza to jednak w żadnym wypadku ich znaczenia. W walce z paraliżem dziecięcym, w walce ze śmiercią są niezawodne.

To dla pań

Na plażach amerykańskich największym powodzeniem cieszą się takie oto sandałki.

Sławny londyński dom mody lansuje nad morze dla tamt. eleagntek specjalny rodzaj shortów,

Poradnik dla gospodyń

Obliczanie proporcji

Obliczanie potrzebnych ilości produktów na przygotowanie posiłków dla różnej ilości osób ułatwia niesłychanie znajomość proporcji na 1 osobę. Podane poniżej proporcje, zamieszczone w czasopiśmie „Żywienie zbiorowe", wydawanym przez Min. Aprowizacji i Handlu, przydadzą się niewątpliwie zarówno mniej doświadczonym gospodyniom, jak i kierowniczkom kolonii, domów wypoczynkowych itd. Pewne rozbieżności, podane w ilościach tego samego produktu, zależne są od szeregu względów, np. gatunku towarów, typu jadłospisu, apetytu stołowników.

Mięsa: bez kości 10—12 dkg na zrazy, na pieczeń, do smażenia; z kością 13—15 dkg na zrazy, na pieczeń, do smażenia; z kością 15 dkg na rosół; z kością 10—12 dkg na kotlety siekane, pulpety, klops; bez kości — 9 dkg na kotlety siekane, pulpety, klops.

Ryby: 25—30 dkg do gotowania, smażenia lub duszenia.

Mąki: 1 dkg do podprawy zup, do sosu; 4—5 dkg na zacierki do zupy, 6—8 dkg na kluski jako dodatek do zup np. rosołu, pomidorowej; 10—15 dkg na danie główne np. kluski z serem (im mąka ciemniejsza, tym liczymy więcej); 10 dkg na pierogi.

Makaronu: 4—5 dkg jako dodatek do zup; 7 dkg jako dodatek do mięsa; 10 — 12 dkg jako główne danie.

Kaszy: 2 dkg na krupnik z ziemniakami; 5 dkg jako dodatek do zup; 6 dkg jako dodatek do mięsa, obok surówki; 10 dkg na danie główne, np. kasza z sosem z mięsa.

Tłuszczu: 1—1,5 dkg do zup, do polewania ziemniaków, klusek, kasz itp.; 2,5—3,5 dkg razem do całego obiadu.

Śmietany: 2—5 dkg do zupy; 1—3 dkg do sosów, surówek.

Ziemniaków: 25—44 dkg jako dodatek do zup 30—60 dkg jako dodatek do mięsa i danie główne.

Marchwi: 20 dkg na jarzynę; 10 dkg na surówkę.

Buraków: 20 dkg na jarzynę; 10—15 dkg na ćwikłę.

Kapusty słodkiej: 20 dkg na jarzynę; 10 dkg na surówkę.

Kapusty kiszonej: 20 dkg na jarzynę, bigos itp.; 10 dkg na surówkę.

Pomidorów świeżych: 12—15 dkg na zupę; 10—12 dkg na surówkę; powidełek 2—3 dkg na zupę.

Soku pomidorowego: 10 dkg na zupę.

Ogórków: 10—15 dkg na surówkę.

Owoców: 8—10 dkg na kompot i surówki.

Grochu: 6 dkg na zupę z ziemniakami; 10 dkg na zupę przecieraną bez ziemniaków.

Fasoli: 6 dkg jako dodatek do zup, np. barszczu; 10 dkg na zupę przecieraną.

Chleba: 5—10 dkg do obiadu.

Cukru: 1 dkg do barszczu; 1/3—1/2 dkg do surówek.

Soli: 1/2 — 1 dkg do całego obiadu.

Maszyna 7-ma